Iwona i Barbara

GOMBROWICZ NA 50. URODZINY TEATRU DRAMATYCZNEGO

Barbara Krafftówna bacznie śledzi urodzinowe obchody warszawskiego Teatru Dramatycznego. – Byłam przy jego narodzinach, jestem i na urodzinach – mówi. – Ze mnie to jest żywy eksponat. Można przyjść, posłuchać, w jaki sposób wygłaszam kwestie, i popatrzeć, jak się ruszam. Mam wprawę, bo robię to od ponad 60 lat – mówi 79-letnia aktorka.

To ona pół wieku temu zagrała główną rolę w prapremierze „Iwony, księżniczki Burgunda" Witolda Gombrowicza w reżyserii Haliny Mikołajskiej. Spektakl inaugurował działalność Dramatycznego. Dziś też do „Iwony" powrócił – premiera odbyła się 29 grudnia.

– W ten sposób postanowiłem uczcić urodziny Dramatycznego – wyjaśnia Piotr Cieślak, reżyser przedstawienia i do niedawna dyrektor tej instytucji. I zaraz zastrzega, że jego „Iwona..." nijak się ma do inscenizacji sprzed 50 lat.

– Mam swoją wizję tego dramatu. A sztuka Gombrowicza to jedynie inspiracja. Chcę opowiedzieć o tym, w jaki sposób społeczeństwo reaguje na wszelkie odmienności. Przecież w naszym kraju sprawa tolerancji to wciąż palący temat – tłumaczy reżyser.

Akcję przedstawienia umieścił na polskiej prowincji – na wiejsko-podmiejskim podwórzu. W tytułowej roli obsadził 23-letnią Olgę Sarzyńską i zredukował tytuł przedstawienia do krótkiego „Iwona". Młoda, początkująca aktorka nie kryje, że chciałaby zebrać tak znakomite recenzje jak ongiś jej starsza koleżanka po fachu. Wybitny krytyk teatralny, nieżyjący już Jan Kott, po premierze w 1957 r. pisał o Iwonie Krafftówny, że jest doskonała i tak przewrotna i drażniąca,

BARBARA KRAFFTÓWNA

że sam miałby ochotę wskoczyć na scenę i ją zabić.

– Pisał też, że uprawiam aktorstwo limfatyczne. Byłam strasznie dumna z tego stwierdzenia. Cieszyłam się, że dostrzeżono moją pracę i fakt, że starałam się nie być na scenie dosłowna. Wydawało mi się, że grałam moją Iwonę jakoś tak podskórnie i Jan Kott to zauważył – opowiada Krafftówna. I dodaje: – A przecież ja się przez cały spektakl prawie nie odzywałam. Burknęłam coś tylko kilka razy. I to już był przełom w polskim teatrze, opętanym socrealizmem i wszechogarniającą dosłownością. Aż się czuło powiew zmian. Wszyscy – my aktorzy grający w tym przedstawieniu – mieliśmy poczucie, że bierzemy udział w czymś nowym i zupełnie rewolucyjnym. Uświadamiał nam to sam tekst dramatu Gombrowicza i Halina Mikołajska, która „Iwonę, księżniczkę Burgunda" reżyserowała. Zdaliśmy sobie sprawę, że „odwilż" ma miejsce nie tylko w polityce, ale i na teatralnych deskach.

Krafftówna wspomina, że nigdy wcześniej nie miała do czynienia z teatrem odartym z realnych, dosłownych kostiumów. Jeśli akcja dramatu rozgrywała się na królewskim dworze, to obowiązkowe były suknie z falbanami, które wyszły spod palców teatralnych szwaczek. Nieodzownym elementem były też dwukilogramowe korony, pieczołowicie przygotowywane przez pracownię modelarską. Scenografowie silili się, by zbudowane z tektury i sklejek ściany pałacu sprawiały wrażenie prawdziwych zdobionych murów.

– W „Iwonie..." wszystko to gdzieś prysnęło. A ja nie od razu zrozumiałam, dlaczego tak się stało. Liczyła się umowność, lekkie zarysowanie, symbole i znaki. Tak samo w aktorstwie. Wystarczył mały gest zamiast długiej tyrady wygłaszanej na proscenium przez dumnie wypiętego aktora. Oczywiście, prosto w twarze widzów. I co najważniejsze, te zmiany publiczność zaakceptowała. A nawet może trochę więcej, bo nasz spektakl cieszył się ogromną popularnością – mówi aktorka, po czym uśmiecha się filuternie i dodaje: – Aż nie mogę uwierzyć, że od tamtej pory minęło pół wieku.

Patrząc na sędziwą aktorkę, nam też trudno uwierzyć. Jest w Barbarze Krafftównie taka siła i temperament, że w premierze „Iwony..." z końca 2007 roku mogłaby z powodzeniem zagrać tytułową rolę. To dopiero byłaby nowatorska, urodzinowa wersja „Iwony, księżniczki Burgunda". I szkoda tylko, że nie ma już Jana Kotta, który mógłby napisać godną Krafftówny laurkę.

MAGDALENA ŁUKASZEWICZ – RIGAMONTI

FOT. PP